

Sakwa była dość spora, uszyta z trwałego, chyba dodatkowo wzmocnionego, a może nawet wodoodpornego materiału. Zawiązana tasiemką na zwykłą kokardę, ale pod węzłem krył się wewnętrzny woreczek, zasnurowany jeszcze raz, już znacznie solidniej, porządnym rzemieniem. Zbyt solidnie, by teraz się do tego dobierać. Chwilowo musiał wystarczyć zmysł dotyku wyczuwający liczne, okrągłutkie przedmioty ukryte we wnętrzu. Trzeba jednak zaznaczyć, że przedmioty te nie brzęczały tak miło i znajomo dla ucha, jak to mają w zwyczaju monety, co musiało na równi niepokoić, co i ciekawić.

Niestety, na rozwikłanie zagadki trzeba było poczekać. Teraz ważniejsze było, by bezpiecznie zwać, zaszyć się głęboko w jakimś zapomnianym zaułku i przeczekać.

Wiesio, pewnie z racji mało rzucającej się w oczy powierzchowności, a może też ze względu na chyżość nóg zwany Szarakiem, gnał na złamanie karku, kluczył i zwodził, usiłując zmylić depczący mu po piętach pościg. Przypadkowi świadkowie, którzy poczulili się w obowiązku wesprzeć przedstawicieli prawa, tudzież poszkodowanego odpuścili dość szybko. Kilku strażników miejskich okazało się wytrwalszych, ale i oni w końcu poddali się, gdy utknęli w tłumie okupującym główny plac targowy. Pozostał tylko jeden ścigający i ten najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru, że uciekiniera dorwie. Z jednej strony było to zrozumiałe, bo ów mężczyzna był właśnie tym, którego Wiesio dopiero co okradł, z drugiej, można się było jednak dziwić, że niemłody i nie wyglądający na super sprawnego mędrzec tak dobrze sobie daje radę w forsownej gonitwie.

Dzieliło ich kilka metrów. Cały czas. Żaden nie zamierzał się poddać. Wiesio Szarak wpadł na wąskie schody prowadzące na wzgórze straceń, jego prześladowca za nim. Przeskoczenie kutej barierki i lot ze dwa metry w dół. Bez powodzenia. Pod arkadami, między żebrakami i ladacznikami, a potem lawirując pod kołami wozów ciągnących na zamek, wreszcie mostem nad Czarną Wodą. Szybkie spojrzenie przez ramię... O szlag... Staruch ledwie dycha, ale nie ustępuje. Magią się wsparł, czy jak? Właśnie, magia...

Coś wybuchło po lewej, nie dalej jak metr od uciekiniera. Stary nie dość, że goni, to jeszcze zakłęcia miota! Trzeba bardziej kręcić, bo na prostej łatwiej mu będzie trafić, a wtedy, to już mogiła! No to hop, przez cmentarną furtę, po nagrobkach, przez chaszcze, pod osłoną zwalistych grobowców. Przez mur, prosto w gnojówkę... A niech to... Ha, stary też trafił w kompost, o mało się nie wyrzucił... Ale biegnie, skubany. Może nawet jest trochę bliżej?

To może na wschód? Tam rozbił się cyrk, masa ludzi, występy, kramy, tam będzie łatwiej zgubić uparciucha.

Szarak też już traci dech, ale przecież nie może się poddać. Utną mu łapę i na tym możliwości zarobkowania złodziejstwem się skończą. Zostanie żebranie, głód i wreszcie śmierć w jakimś rynsztoku! O nie, co to, to nie! Przez bramę solną i dalej kawałek prostej. Oby stary nie trafił...

Iskry sypnęły tuż, obok ucha, trochę przypiekło. Ale obok, to nadal jest niecelnie, więc wyścig trwa. Co on się tak uwziął? Głupi dziad, na pewno ma znacznie więcej niż tą jedną sakwę, to mógłby odpuścić!

Kram z biżuterią. O rety! Sama Lady Nath ze swiątą dwórek przegląda drogocenne błyskotki. A, co tam! Bach, prosto między damy dworu, między suknie, falbanki, sprzączki i tasiemki. Skok i już nogi depczą kram, tupią po koliach, kolczykach i diademach. To jeszcze... O tak, celnie!

W locie Wiesio Szarak zerwał wyszywany perłami czepiec jednej ze szlachcianek, cisnął za siebie, pod nogi nieustępliwego starca... A ten nie wykazał się szacunkiem dla kobiecej własności, zdeptał to, sam przepchnął oburzoną arystokratkę i kontynuuje pościg.

W dzielnicę szczurów! Jeśli nie tam, to już chyba nigdzie nie uda się uciec!

Nogi zaczynają się płątać. Magiczne wybuchy wydają się coraz celniejsze, ale już blisko. Przez skwer, koło browaru, dalej pod oknami lazaretu i już. Dzielnica szczurów... Miejsce, gdzie nikt o czystym sumieniu się nie zapuszcza. Miejsce, z którego często nie udaje się wrócić...

A gdzie ten zawzięty staruch?...

*

Edmond Bosz, a jakże, wspomógł się czarami i nie mniej, nienawiścią. Poświęcił pięćdziesiąt lat, by wreszcie osiągnąć swój cel, a teraz, kiedy wreszcie się udało, kiedy był o krok od sukcesu, od wielkiego upublicznienia jego dzieła, okradziono go. Tak żenująco banalnie, złodziej wyrwał mu drogocenną sakwę. Dorobek całego życia przepadł w rękach parszywego kieszonkowca, który nawet nie zdawał sobie sprawy, jaki skarb posiadał! O zgrozo!

Cóż było robić? Pozostało wzywać pomocy i gonić. Gonić ile sił i daleko, daleko dłużej. I kurczę, była szansa. Edmond miał przy sobie swoją różdżkę i choć w pełnym biegu z celnością wyraźnie mu nie było po drodze, to przecież za którymś razem musiało się udać. Przecież nie musiał od razu zabijać. Wystarczy, że trochę przysmaży złodziejaska, że spowoduje jego upadek, a potem znów będzie panem sytuacji.

Nie szło to najlepiej, bo magiczne błyskawice ciągle trafiały gdzieś obok – nawet trochę głupio wyszło, bo przysmażył kota sąsiadów i suknię samej Lady Nath – ale wreszcie nadarzyła się okazja. Łotr wiał do dzielnicy szczurów. Wiedział, przeklęty, co robi, ale Edmond nie był w ciemni bity. Kiedy był już pewien, że przed złowrogim terenem nie dorwie uciekiniera zatrzymał się, stanął w lekkim rozkroku, uspokoił oddech i pewnie wycelował różdżkę...

A potem padł na ziemię przygnieciony czyimś ciężarem.

*

Oprychy, dwa cuchnące wódką i rybim tłuszczem chłopcy o posturze nieco tylko drobniejszych bawołów, nie mieli za grosz delikatności. Ciągnęli Edmonda po bruku, wyłamywali mu ręce, a kiedy tylko próbował protestować, nie szczędzili mu kułaków. Próby buntów spełzły na niczym, a nieudolna akcja, mająca na celu odzyskanie różdżki, zakończyła się rozkrwawieniem nosa, więc nieszczęsny starzec przestał się opierać. Wkrótce wepchnięto go w ciemną bramę i dalej, do stęchłego, zapleśniałego loszku.

- No pięknie, pięknie. Sport to zdrowie, ja rozumiem... Bieganie po grodzie przyda młodzieńczego wigoru i takie tam bzdety, ale powiem panu, panie Edmond, że akurat pana potrzebuję i wcale mi się nie uśmiecha latanie z wywalonym ozorem.

Głos był zdecydowanie kobiecy, przyjemny, może nawet z nutą erotyzmu ukrytą za miękką chrypką, ale starzec nie miał wątpliwości, że nie ściągnięto go tu na schadzkę. Trochę żałował, że nie widzi rozmówczyni – kryła się w cieniu wielkiej, dębowej beczki – ale z drugiej strony... Czasem lepiej wiedzieć i wiedzieć mniej.

- Więc przechodząc do sedna sprawy, proszę mi szybko oddać to, co pan tak zgrabnie wymyślił. I od razu dodam, że nie mam ochoty na dziecinne awantury i gierki, że to moje i coś tam, coś tam.

Edmond Bosz szarpnął się wściekle, ale po raz kolejny skapitulował przed siłą trzymających go oprychów. Jedyne co zyskał, to śmiech i kilka wyzwisk, w których celowała gibka jak kotka dziewczyna i chorobliwie wręcz chudy chłopca z kilkunastoma nożami zatkniętymi za pas.

- No dobra. Przyjmijmy, że desperacką i bohaterską walkę mamy już za sobą, że zachował pan alchemik godność i takie tam. A teraz proszę mówić.

Właścicielka zmysłowego głosu wyszła z cienia. Starzec obrzucił ją szybkim spojrzeniem, bezbłędnie rozpoznał i rozpaczliwie jęknął.

Zafarbowane na zielono i zaplecione w warkoczyki włosy były aż nazbyt charakterystycznym wyróżnikiem, a dziki wzrok – dyplomatycznie nazwijmy go chaotycznym – i dumnie wyeksponowane w rozwiązłym dekolcie, krągłe jak bułki czy raczej jak solidne bochny piersi dopełniały obrazu, który nie pozwalał się pomylić.

To była Oczko, zwana też czasem (acz nigdy w jej obecności) Kaprawym Oczkiem. Kobieta zła, niedobra, a może nawet jeszcze gorsza. Postrach uczciwych obywateli, złodziejka poszukiwana listami gończymi w siedmiu hrabstwach, morderczyni, oszustka, zabijaka... Straszliwe legendy o zielonowłosej wyprzedzały ją, więc choć kto – jak Edmond teraz – widział ją pierwszy raz, nie miał wątpliwości, że to

jest właśnie ta, której spotkać wcale nie miał ochoty.

- No przecież tego nie mam! – Alchemik przepełniony mieszaniną strachu, bólu i wściekłości zawył niczym katowane zwierzę.

- Kochanieńki, wiem, że nie masz, bo cię przeszukaliśmy, ale nie wątpię, że wiesz, gdzie to jest i zaraz nam wszystko pięknie wyśpiewasz. Chyba nie chcesz, żebym sięgnęła po bardziej wyrafinowane metody wydobywania prawdy?

Edmond Bosz przez chwilę dygotał jak w febrze, ale nagle oklapł. A potem coś mu musiało przeskoczyć w mózgowicy, bo zaczął się histerycznie śmiać. Zanosił się spazmami, rechotał i chichrał wywołując niemalą konsternację wśród trzymających go oprawców, reszty łotrów, a nawet w samej Oczko.

- Zawaliliście. Dupy z was wołowe i tyle. – Nie przestawał się śmiać, a śmiech ów, iście szaleńczy, wyraźnie pozbawił go jakiegokolwiek strachu, czy respektu do osławionej okrutnicy. – Kaprawe Oczko, nie wiem, po co ci moje odkrycie, ale dupy dałaś. Taka z ciebie profesjonalistka, jak z taniej murwy mniszka!

I znów rżał ze śmiechu, jakby nie przymierzając koń na blachę łał, a hultaje spod ciemnej gwiazdy stali nieruchomo i zupełnie nie wiedzieli, co w tak dziwnej sytuacji mają począć. Sama Oczko kipiała z wściekłości, całą siłą woli powstrzymywała się by wrednego dziada zaraz nie skatować. Jak on śmiał się tak do niej odzywać!!!

- No, dziadu... Już żeś trup, nie ma to, tamto! Tłumacz szybko o co ci chodzi, to może jeszcze pozwolę ci zdechnąć szybciotko, bez wcześniejszego wypruwania flaków i łamania kości...

- Sama się łam idiotko! – Edmondowi musiało już być wszystko jedno. Ewentualnie uznał, że i tak ma przesrane na całej linii, więc należy mu się choć chwila intelektualnego triumfu nad przyszłą oprawczynią. – Kiepska jesteś i tyle. Słaba! Jakiś chłystek cię wycykał, byle ciur cię wydymał i to jak i gdzie chciał. Dupek zwykły, miejski obdartus okradł mnie przed tobą, a jak żem go właśnie miał złapać, toście mnie kupą przywalili i tu zawlekli. Znaczy kpy z was nie rabusie, naiwne pętaki, nie szajka co się jej po gościńcach boją. Teraz, jak kto o was mówić będzie, to nie żeby dzieci straszyć, lecz żeby się pośmiać trochę, a zielone włosy nowym symbolem będą, nie łajdackiej grozy, a żenującej pindzi, co gawiedzi dla śmiechu cycki pokazuje...

Tyrada Edmonda Bosza trwałaby zapewne jeszcze długo, ale Oczko nie wytrzymała. Nie bawiąc się w ostrzeżenia chlasnęła kordem po gardle szczerze już znienawidzonego starucha. Nagle zapanowała cisza.

*

Zapadał zmierzch. Oczko łąziła od szynku do szynku, wypytywała, obserwowała, węszyła nawet, ale jak na razie bez efektu. Zaszlachtowała alchemika, bo mu się to należało, ale przy okazji narobiła sobie kłopotu. Bo jak teraz pierońskiej sakwy nie znajdzie, to kto recepturę odtworzy? Psia jego mać...

Sporo czasu poświęciła na dzielnicę szczurów, zwłaszcza, że tam o języki było łatwiej, ale o dziwo nikt nic nie wiedział. Rozesłała swoich oprychów po innych częściach miasta, ale i oni nie przynieśli dobrych wieści. Kiepsciutko, oj kiepsciutko... Jeśli zawali, to jej niechlubna reputacja może solidnie uciepnieć. Mało tego, może się okazać, że jest gorąco i wiać trzeba, bo zleceniodawca do miłych gości nie należał... Gospoda „Szalony koń” prowadzona przez Grubą Zoche, córkę miejskiego kata, była chyba ostatnią, w której tego dnia Oczko jeszcze nie była. Omijała ją celowo, bo i drogo i klimat jakiś inny, bo elity się tam zwykły bawić, a zbórczyni nie było po drodze z dystygowanymi pudernicami i ufryzowanymi lalusiami. No i, gdzie elity, tam i ochrona lepsza, a jak ją kto by rozpoznał, to by afera była musowo. A przecież rozpoznać Oczko trudno nie było.

Teraz jednak nie było wyjścia. Kaptur na głowę, schować broń i odważnie za próg snobistycznej knajpki. Myk, myk, w ciemniejszy kącik i nuże, obserwować towarzystwo. Nieprzyzwoicie bogaci kupcy pijani jak świnię. Odpitolone w jedwabie paniczki, pijane jak świnię. Z nimi najdroższe kurtyzany. Tak, tak, też pijane jak świnię. A niewiele się od nich różniące arystokratki... Oczko powiedziała, że to już maciory, względnie lochy, ale zasadniczo i one pijane jak świnię. Dwóch rycerzy leży pod stołem, trzeci

jeszcze pije, ale znać, że lada moment dołączy do pasowanych braci. Kapłan któregoś z boginek dobiera się do wieszczki. Ta wcale się nie opiera, ale kapłanowi i tak nie idzie, bo i on już pijany jak świnia. Wzięty bard przewieszony przez krzesło rzyga na swojego nieprzytomnego konkurenta. No tak, elity się bawią... Po przeciwnej stronie, ze swoim dworem ucztuje Lady Nath. Tam kultura większa i konwenanse zachowane, bo przecież nie wypada, by księżna publicznie zalała się w trupa. Oczko zauważyła oczywiście, że ci z kolei odurzają się opium, ale nie bardzo ją to obchodziło.

Ona szukała kogoś innego. I znalazła! No wreszcie! Dzięki niech będą bogom, a i demonom, jeśli to akurat ich sprawka. Usiadł pod filarem, szary, skromny, nie pasuje do tej celebry, a jednak pije drogie wino i obżera się nadziewaną kurkami gęsią. Na twarzy nie miał wypisane, że to on, ale Oczko znała się na ludziach. A na tych z półświatka, to już szczególnie. Temu się pojedynczy grosz trafił. Za mało, by kaftany ze złotogłowiu kupić, za dużo, by chlać skwaśniałe piwo. Uznał, że choć jedną noc się zabawi. No to będzie zabawę miał...

*

Noc była ciemna, kiedy Szarak opuścił Szalonego Konia. O dziwo wyszedł o własnych siłach, ale to może dlatego, że jakoś mu te drogie trunki nie podchodziły. Jego plebejskie gardło wołałby raczej bimber, niż perfumowane pomyje, jakie mu serwowano.

- Hej, paniczu! Widzę, że wieczór udany, może go finałem miłym uczcić? – Skryta pod płaszczem kobieta wyszła zza winkła, ale nie wyglądała na jakąś zapchlona przechodkę trzeciego sortu. Sama zresztą szybko podkreśliła, że nie jest pierwszą lepszą, co za koszt jabłek kiecę zadziera. – Ja z każdym do łóżka nie chodzę, ale widzę, żeś przy groszu, to ci skarby pokażę, o jakich nawet nie śniłeś.

- Skarby? – Złodziej nie był za bardzo zainteresowany, ale zatrzymał się i zaczekał, aż metresa podejdzie nieco bliżej.

- Skarby, skarby. Mam dwa takie skarby, jakichś jeszcze nie oglądał, że o dotykaniu nie wspomnę. Dasz złocisza, do rana będę ci najwierniejszą kochanką.

- E, nie. Nie mam nastroju. Może nie wygląda, ale miałem kiepski dzień. Poleżże za koszary, tam cię pewnie kto ładnie wydupczy skoro tak cię picza świerzbii.

Wiesio Szarak odwrócił się i zamierzał odejść w swoją stronę, ale Oczko, bo ona to oczywiście próbowała zwieść go na manowce, przestała się patyczkować. To nie był jej dzień, ot, zdarza się, ale, żeby drugi fajfus jej ubliżał, tak być nie mogło.

- Słuchaj no, pomocię! Damie szacunku nie umiesz okazać? Jak ci moje cycki nie miłe, to pewnieś pedał jaki! Ale to mam ja dla ciebie skarb inny. – Wyciągnęła spod płaszcza sejmitar. – Idziesz ze mną, albo cię to cudeńko troszkę popieści!

Poszedł. Bez słowa i najmniejszej próby sprzeciwu. A chwilę później, złodziej Wiesio siedział w opuszczonym magazynie i trząsł się ze strachu, bo zobaczył już zielone warkoczyki i wiedział, że wdepnął w gówno.

- Będzie krótko i konkretnie, bo nie mam czasu. – perorowała Oczko. - Gdzie sakwa, którą dziś ukradłeś?

- Nie mam jej – załkał kieszonkowiec. – Kilka sztuk złota w niej było, tom je właśnie przepił, a reszta, to nic nie warta. Paskudztwo jakieś magiczne, co to go strach dotykać. Wywaliłem to...

- Gdzie wywaliłeś? – Rozbójniczka syczała nienawistnie, a gdzieś wewnątrz niej walczyły ze sobą siły dążące do erupcji wulkanu wściekłości lub zalania falami łez.

- Nie pamiętam. Kto by się tym przejął.... Aaaaa!!!

Sejmitar ciął precyzyjnie i mocno. Szarak krzyczał i cały rzucał się jak opętany... No, nie cały, bo jego prawa dłoń całkiem spokojnie leżała na podłodze.

- A może sobie przypomniesz?

*

Za świątynią Wielkiego Bobra, na tyłach spichrza zbożowego było zejście do kanału odprowadzającego z miasta ścieki. Mało kto o tym wiedział, ale dla desperatów była to potencjalna droga pozwalająca po

cichu wymknąć się poza obręb murów. Przykro to stwierdzić, ale w tej chwili Oczko była zdesperowana. Nie znalazła tej przeklętej sakwy, mimo, że przeczesła całą okolicę. A tymczasem czas, który jej dano minął. Gdyby przyjęła zlecenie od kogoś innego... He, he, na pewno wyszłaby z tego nie tylko bezpiecznie, ale i z jakimś łupem, ale tu nie było żartów. Z wielkim czarnoksiężnikiem królestwa, nekromantą i ponoć kanibalem, straszliwym i mrocznym Khallgoonem nawet ktoś taki jak Oczko, nie miał szans się równać. A jeśli się mu podpadło, jeśli na przykład nie sprostało się jego oczekiwaniom, ooo, to było bardzo źle. Zbójczyni świetnie zdawała sobie z tego sprawę, więc nie traciła czasu. Postanowiła dać dyla.

Oprychom ze swojej szajki wcisnęła jakąś bajkę – wiadomo, że samemu zniknąć jest łatwiej – i bez mitrżenia czasu wzięła się za realizację planu. Do kanału schodziło się z niewielkiego, ceglanego domku. Budowlę zaprojektowano z myślą o konserwacji kanału, ale zgodnie z przeznaczeniem używano jej nie częściej, niż dwa razy w roku. Przez pozostały czas stała opuszczona, zamknięta solidną kratą i ciężkimi kłódkami.

Dostanie się do środka nie zajęło Oczku więcej czasu niż wizyta w wychodku. Potem krętymi schodami zeszła na dół, łatwo uporała się z lekko zbutwiałymi drzwiami i wreszcie, walcząc z mdłościami wywołanymi koszmarnym odorem wylądowała na wybrukowanym brzegu mazistego, leniwego cieku. Nadzieja, że uda się przejść suchą nogą umarła już po kilkunastu metrach. Dalej nabrzeża już nie było i koniecznym stało się wędrowanie po kostki w cuchnącej brei. Oliwna lampka nie dawała dużo światła, ale wystarczała by w miejscach, gdzie sklepienie korytarza nieprzyjemnie się obniżało uniknąć uderzenia w głowę.

Po jakichś dwustu metrach dotarła do wyłamanej kraty. Za nią był już, bagnisty w tym miejscu, zasypany miejskimi śmieciami brzeg fosy. Mocne szarpnięcie, krata bez protestu ustąpiła. Powietrze unosiło dławiące opary, ale w porównaniu z tym w kanale, pachniało świeżością i... bezpieczeństwem. Oczko łatwo przeprawiła się przez fosę, wspięła na stromy brzeg, puściła się pędem przez pole i wreszcie zapadła w brzozowym zagajniku.

*

Oczyszczający ogień płonie pod świętym kotłem. Szkarłatne wino buzuje w tętnicach. Oszalamiająca woń kadzideł przyprawia o szaleństwo. Ostra niczym brzytwa klinga rytualnego kindżału w szybkim, precyzyjnym cięciu rozpoławia staw łokciowy, oddziela przedramię od reszty tułowia. Drugie cięcie i tym razem przerażający krzyk.

- Cicho głupia dupo! On się nie skarżył.

Okaleczona dziewczyna nie doceniła ponurego żartu nekromanty, który w pierwszej kolejności zajął się nieco już podsuszonym trupem mężczyzny. Krzyczała, płakała, wyła jak upiór. Nie wykluczone zresztą, że właśnie los zmory miał ją czekać.

Życie i śmierć. Dwie ucięte dłonie, trupa i żywej, łączy skórzany rzemień a potem pochłania żar rozpalonych węgli.

Stary kruk zatrzepotał skrzydłami, jakby coś go przestraszyło, a przecież łączące światy ptaszysko powinno być oswojone ze wszelkimi przybyszami z krainy cienia.

Khallgoon dokończył rysować kredą tajemne znaki usypał z soli krąg i schlapał się posoką szybko słabnącej dziewczyny. Westchnął ciężko, jakby to, co robił było nie czarami, a ciężką fizyczną harówką, potem odczytał kilka wersów z pożółkłej księgi.

W komnacie zrobiło się nieprzyjemnie zimno, szron błyskawicznie osadził się na kamiennych ścianach, gęsta mgła spowiła posadzkę. A potem z ogłuszającym trzaskiem pękło powietrze. Z bezkształtnej szczeliny rysującej się nad solnym kręgiem przez chwilę ziała nicość, a potem wyszła z niej jakaś istota.

Nekromanta sapnął niezbyt zadowolony tym, co zobaczył, ale nie próbował odegnać koszmarnego stworzenia.

- Masz jakieś imię?

Odpowiedzi nie było. Istota nie wyższa niż kilkuletnie dziecko, chuda i żylasta, o czerwonej, spękanej i pełnej ropiejących pęcherzy skórze wierciła się tylko i błędnie wodziła wzrokiem po całej komnacie.

- Rozumiesz mnie? – Khallgoon nie zamierzał się od razu poddawać.

Tym razem również nie padły słowa, ale koszmarny dziwoląg nerwowo pokiwał głową, a potem pisnął przeciągle, przepełniony zalem, złością i bólem.

- Tak, tak, wiem, że wam się tu nie podoba, ale sprawy mają się tak, że musisz wykonać dla mnie zadanie. Kiedy tylko wypełnisz co ci przykażę, natychmiast odeślę cię do twojego świata. Jednak, jeśli zawiedziesz, będziesz musiał tu zostać. Zrozumiałeś?

- Zabiję cię czarowniku. Zabiję i pożrę twoją duszę. – Stwór dziwnie poruszył krzywą, nieproporcjonalną zuchwą, syknął gniewnie i trochę niewyraźnie, błysnął żółtymi, krótkimi, ale bardzo ostrymi zębami.

- Być może to potrafisz, być może ja okazałbym się potężniejszy, ale wierzę w twój rozsądek. Jeśli nawet ci się uda, będziesz musiał pozostać tu na wieki. To jak, dojdziemy do porozumienia? – Rozwścieczony przybysz z zaświatów zabulgotał, ale już nie pomstował, więc nekromanta kontynuował. – Powiesz mi swoje imię?

- Nie mam imienia. Nie mam imienia w waszym rozumieniu. – Wada wymowy bardzo utrudniała zrozumienie słów, ale już nie z takimi dziwadłami Khallgoon miał do czynienia.

- W porządku. Muszę cię jednak jakoś nazywać. To ułatwi nam współpracę. Gmoch... Pasuje ci? Bezimienny stwór, który właśnie stał się Gmochem, fuknął i znów boleśnie pisnął.

- Jak się domyślam, oprócz tego, że przebywanie tutaj cię boli, to jesteś głodny?

- Tak.

- Dobrze, dobrze. Przysięgnij, że będziesz mi posłuszny, a zaspokoję twoje pragnienie.

- Będę ci posłuszny, czarowniku... - Gmoch powiedział to bardzo niechętnie, ale jednak powiedział, a Khallgoon wiedział, że demon tej przysięgi nie złamie. Co prawda będzie próbował tysięcy sztuczek, ale dobry początek mieli za sobą.

Nekromanta niedbałym gestem roztarł stopą krawędź solnego okręgu i wskazał na przykutą do ściany półprzutomną dziewczynę. Powtarzać nie musiał. Gmoch wystrzelił niczym błyskawica, w oka mgnieniu dopadł ofiary i niemal natychmiast rozdarł ją na pół. Minęła raptem chwila i z nieszczęśnicy pozostały tylko krwawe strzępy.

- No, no, widzę, że nie jesteś taki cherlawy, na jakiego wyglądasz. To dobrze. To się przyda... - Jakby chcąc udowodnić Khallgoonowi, że się myli, i że to wcale nie jest dobrze, demoniczny stwór śmignął w górę i jeszcze w locie pożarł starego kruka, od lat najlepszego, jeśli nie jedyne go towarzysza czarownika. Ten aż zatrzęsął się ze złości, ale zamilczał cisnące się na usta przekleństwa. Zamiast tego warknął: - Lepiej?

- Lepiej.

- To teraz słuchaj, jakie masz zadanie...

*

Chudy Zach ze złością cisnął nożem. Ostrze na pół długości wbiło się w podtrzymujący sklepienie filar, nie dalej niż trzy centymetry od ucha Svena. Zwalisty olbrzym warknął wściekle i już miał rzucić się z pięściami na kamrata, kiedy drogę zastąpiła mu Kocica.

- Spokój! Spokój mości panowie! – Kocica nie miała nawet połowy tego autorytetu jakim cieszyła się Oczko, ale teraz udało jej się zapanować nad sytuacją. Sven sapnął gniewnie, ale pod spojrzeniem niebezpiecznie przymrużonych oczu spuścił wzrok i cofnął się pół kroku. – Mamy tyci kłopot i dobrze by było sobie z nim poradzić, co będzie trudniejsze, kiedy rzucimy się sobie do gardeł. Dobrze mówię?

- Ajuści – mruknął bez przekonania Chudy Zach. Inna sprawa, że jak dla niego Kocica zawsze miała rację i to bez względu na to, czy coś powiedziała, czy nie. Po prostu miał słabość do drapieżnych damulek.

- Kochana Oczko puściła nas kantem. Trza by jej podziękować, może te zielone kudły wyrwać, a może słynne cycki przypalić, ot co. Przyznać jej jednak trzeba, że zapchlona sucz końską pyłą chędożona

wiedziała, kiedy brać dupę w troki. Zostawiła nam cholernie śmierdzące jajo i nie wiem, jak mości panowie, ale ja nieco się o swoją śliczną fizis obawiam. Z kim, jak z kim, ale z nekromantą Khallgoonem wolałabym randek nie mieć.

- Rozdzielmy się, wyjedźmy z miasta, potem się spikniem znowu, w norze gdzieś przezimujem i z wiosną zaczniemy Oczka szukać. – okryty złą sławą gwałciciela i okrutnika Dżullass nie błysnął oryginalnością, ale w prostocie jego planu było niewątpliwie dużo rozsądku.

- Ajuści – Chudy Zach po raz kolejny błysnął zdolnościami oratorskimi.

- Jednak, razem może być nam nieco łatwiej. Zawsze to lepiej się bronić kupą...

W wielu sytuacjach słowa Kocicy znalazłyby poparcie w czynach i ich efektach, ale nie tym razem. Tym razem, dokładnie kiedy seksowna zabójczyni przekonywała kamratów do swoich racji, do komnaty w której siedzieli, wraz z odrzwiami i futryną wpadła jakaś nieduża, czerwonoskóra istota.

Do uszu Lady Nath, która właśnie zażywała uroków wieczornej przejażdżki odsłoniętą kolasą, doszły nieludzkie krzyki. Umilkły tak szybko, że nie mogła być pewna, czy słyszała je naprawdę, czy tylko miała jakieś koszarne przesłyszenia...

*

O makabrycznej śmierci swoich byłych podwładnych Oczko dowiedziała się przypadkiem, w jednej z przydrożnych karczm. Mogła nie wierzyć, bo stary dziad bajający o ćwiartowaniu i obdzieraniu ze skóry, oczywiście w słusznej karze za liczne przewiny i grzechy, nie budził za grosz zaufania, ale coś jej mówiło, że tym razem obdartus nie zmyśla. Wciąż pamiętała u kogo zrobiła sobie tyły i nie miała wątpliwości, że tego kogoś stać było na podobną zemstę.

A zatem należało wyciągnąć jedyny rozsądny wniosek. Trzeba uciec jeszcze dalej, zmienić nazwisko, twarz nawet. Z tym ostatnim było najtrudniej, bo owszem, były czarodziejki, które zajmowały się tego rodzaju operacjami, ale żeby dyskretnie skorzystać z ich usług potrzebne były ogromne pieniądze i wpływy. Oczko mogła się o to postarać, ale chwilowo nie bardzo miała czas. Zamiast twarzy zmieniła więc włosy. Zastąpiła zieloną farbę blond platyną, rozplotła warkoczyki, a wreszcie skróciła fryzurę niemal o połowę. Potem długo patrzyła w lustro i szczerze płakała.

Podążała na północ. Opuściła ruchliwe trakty i wybrała zdecydowanie mniej bezpieczną, za to bez dwóch zdań dyskretniejszą drogę przez góry. Zapadał zmierzch, a Oczko schodziła z łagodnego, bardzo długiego zbocza. Może coś usłyszała, może wyczuła? Odwróciła się powoli, zdążyła w między czasie sięgnąć po sejmitar. Nie dostrzegła nic niepokojącego, ale była pewna, że intuicja jej nie myli. Cokolwiek się zbliżało, wysłał to Khallgoon. Nadchodziła śmierć.

Oczko uniosła broń, zrobiła pół kroku do tyłu i przybrała szermierczą postawę. Wciąż nic nie widziała, ale bez dwóch zdań czuła, że to już, że bardzo blisko, że zaatakuje... Lekko odskoczyła w bok, w półobrocie uniknęła jakiegoś przemykającego cienia, zaatakowała z wypadu tam, gdzie kazał jej instynkt. Rozpaczliwy, błagalny pisk. Oczko wstrzymała cięcie. Jakże to, zabić tak nieszczęsną istotę? To chyba dziecko, ale jakieś chore, poparzone chyba... Te szukające litości oczy, te... Zęby! Jedno kłapięcie. Trzask kości, krew i nagły przypływ paniki. Śmierć nie była łagodna.

*

Gmoch nerwowo krążył po komnacie, syczał, warczał, darł pazurami po ścianach, czasem zatrzymywał się, wyskrobywał na blacie stołu jakieś znaki, kółka, strzałki, chwilę machał rękoma i znów zaczynał chodzić w kółko.

- Odeślij mnie czarownik! Odeślij! – Sepleniał niewyraźnie i nienawistnie patrzył na nekromantę.

- Jeszcze tylko jedno, jeszcze tylko znajdź dla mnie...

- Nie, nie, nie! Inna była umowa, inna! Wykonałem zadanie. Odeślij.

- To już ostatnie polecenie... - Khallgoon wydawał się nieprzejednany, ale czuł już, że tym razem będzie musiał się poddać. Bardzo mu się to nie podobało.

- Nie! Odeślij mnie czarownik, albo cię zabiję! – Żółte zęby połyskiwały groźnie jasno dając do

zrozumienia, że stwór nie ma ochoty ani na żarty, ani na dalsze negocjacje.

Khallgoon sapnął wściekle, przez chwilę rozważał, czy nie spróbować siłą zmusić Gmocha do posłuszeństwa, ale odpuścił. Trudno, skarb z sakwy przepadł, ale może jeszcze kiedyś nadarzy się okazja...

- Dobrze. Odeślę cię. Dotrzymałeś słowa i ja też go dotrzymam.

*

Okrutny i bezwzględny Khallgoon miał tylko jedną słabość. Słabość to mało powiedziane. To była jego obsesja, jedyny - choć skrzętnie skrywany - sens istnienia, wartość, którą przedkładał ponad życie i śmierć, ponad całą potęgę i czarną magię. Tą słabością była Lady Nath.

Nekromanta jak tylko mógł krył się ze swoim afektem. Wiedział, że najlepsza partia w mieście trafi się jakiemuś księciu, czy hrabiemu, ale to nie pozbawiało go marzeń. Rzecz jasna, ze swoją potęgą mógł próbować osiąść ukochaną przy pomocy zaklęć, ale nie dopuszczał takich myśli. Lady Nath była dla niego niczym świętość, prędzej więc sam zadałby sobie katusze, niż posunął się do jakiegokolwiek formy gwałtu. Innych bez mrugnięcia okiem potrafiłby torturować, czy posyłać na śmierć, dla niej chciał zbierać kwiaty, bić pokłony i służyć.

Czarownik znał swoją wyśnioną piękność osobiście, nie raz widywał ją przy różnych oficjalnych okazjach, czasem nawet zamienili ze sobą kilka zdań, ale nigdy nic więcej z tego nie wychodziło. Może dlatego, Khallgoon z roku na rok stawał się coraz bardziej zgorzkniały, okrutny i... nieszczęśliwy. A jednak jego uczucia nie wygasły. Płomień platonicznej miłości niezmiennie buzował w jego sercu, tyle, że z biegiem lat uwielbienie to przybierało coraz to dziwniejsze formy...

Przebrany za starą żebraczkę, zgarbiony, utyłany w końskim łajnie, Khallgoon kuśtykał za orszakiem Lady Nath i drżącym, słabym głosem prosił o datki. Przepychał się w tłumie plebsu, cierpliwie znosił obrazy i poszturchiwania, konsekwentnie parł jak najbliżej ukochanej. Poczuć jej zapach, zobaczyć błysk w oku, może nawet dotknąć rąbka sukni. Skoro misterny plan upadł, trzeba było szukać pomniejszych radości.

Był już blisko, kiedy ktoś mocno pchnął go w plecy. Nie utrzymał równowagi i jak długi runął prosto pod nogi arystokratki. Ta odskoczyła przestraszona – och, z jaką gracją! – przez chwilę spod eleganckiej sukni błysnęła szlachetna biel zgrabnej tydki. Khallgoon aż jęknął z zachwytu, ale nim zdążył nacieszyć się widokiem gwardziści zasłonili piękną damę, a rozbawiona czerń poczęła go wyśmiewać, kopać i lżyć. Zniósł i to upokorzenie, do ostatniej chwili patrzył za odchodzącym orszakiem, niemal nabożnie odnotowując każde stąpanie karminowych trzewików ukochanej. I właśnie kiedy Lady Nath miała zniknąć mu z oczu zauważył, że jej drobna stópka stanęła na czymś, co lekko odcinało się od kamiennego bruku.

Nekromanta z uwielbieniem kolekcjonował rzeczy uświęcone dotykiem damy jego serca. Chorobliwie pożądał jej osobistych przedmiotów, w szczególności rzecz jasna ubrań, i choć nigdy nie posunął się do kradzieży a tylko zbierał to, co przestało być jej potrzebne i zostało wyrzucone, to i tak mógł się pochwalić całą komnatą wypełnioną po brzegi tym, co kiedyś miało szczęście służyć Lady Nath. Nadepnięte przez nią „nie wiadomo co” było co prawda niczym przy skarbach takich jak podwiązka, czy przedziurawiony pantofelek, ale i to potencjalnie mogło okazać się ciekawe.

Psiocząc na stłoczone wokół pospólstwo, wciąż pozostający w kamuflażu żebraczki Khallgoon podniósł się i zdecydowanie rozpychając łokciami parł w miejsce, gdzie przed chwilą widział przedmiot podążania.

Jest! Nikt nie zabrał! W błocie leżała sakwa. Na pierwszy rzut oka solidny materiał kiedyś był błękitny, teraz szaro bury, zdeптany i pomięty. Czarownik chciwie podniósł znalezisko i z lubością przytulił do piersi. Z pewnym zaskoczeniem wyczuł, że wewnątrz coś było. Tasiemkę ktoś rozwiązał, ukryty pod nią dodatkowy rzemień także, ale zawartość musiała okazać się mało atrakcyjna, skoro nawet jej nie wysypano.

Wiedziony ciekawością Khallgoon zajrzał do środka sakwy. Nie od razu odgadł czym są dziwne małe kapsułki, w większości połamane, nasiąknięte wodą i zamienione w drobny żwirek. Zdziwił się, a dosłownie sekundę później doznał olśnienia.

EPILOG

O tym, jak obdarta żebraczka odtńczyła na rynku szaleńczo dziki taniec radości opowiadano jeszcze długo, śmiejąc się przy tym do rozpuku i nie wnikając, co spowodowało taki wybuch euforii. Oczywiście nikt nawet się nie domyślał, że to nie była żadna biedaczka uszczęśliwiona znalezieniem złamanego srebrnika, lecz wielki czarownik Khallgoon, który zdobył wreszcie to, co spisał już na straty.

Nekromanta musiał użyć czarnej magii, by dowiedzieć się, że alchemik Edmond Bosz pracuje nad wynalazkiem będącym spełnieniem jego marzeń i poświęcił wiele tak czasu, jak pieniędzy by wykraść mu sekret. Długo śledził prace wynalazcy, wydał fortunę na opłacenie bandy Oczka, a kiedy ta zawiodła nie zawahał się przed wezwaniem demona. Połała się krew, wypełniła zemsta, lecz nic to nie dało. Wynalazek przepadł jak kamień w wodę. A potem Khallgoon dostał to, co chciał, zupełnie przez przypadek.

Ot, dowcip losu. Co za cudowny, wspaniały, doskonały dowcip losu! Jakież się otwierały perspektywy! Jeśli się miało w rękach produkt końcowy, dla maga tak potężnego jak Khallgoon rozpracowanie alchemicznej receptury nie stanowiło żadnego problemu. A potem będzie można otworzyć produkcję i natychmiast zawładnąć rynkiem. Monopol, pieniądze, nagrody, zazdrość konkurentów... To wszystko było bez znaczenia. Nekromanta miał już niezmierzoną potęgę, nie narzekał na biedę, a cały spisek uknuł z jednego i tylko jednego powodu...

*

Z sercem bijącym mocniej niż razem wzięte wszystkie dzwony świątyni Wielkiego Bobra, Khallgoon równo ułożył prostokątne pastylki (uznał, że zmiana kształtu z okrągłych, jakie wymyślił Edmond Bosz, będzie wystarczającym pretekstem do oficjalnego podpisania się pod wynalazkiem). Zamknął gustowne pudełeczko, przewiązał czerwoną wstążką i wraz z liścikiem i pękiem jaśminu wręczył posłańcowi.

- Do rąk własnych Lady Nath. Ręczysz głową za to, że przesyłka dotrze bezpiecznie.

Goniec żwawo ruszył wypełnić swoją misję, a nekromanta odetchnął głębiej i chwiejnym krokiem podszedł do ulubionego fotela. Opadł ciężko na miękkie, skórzane siedzisko. Teraz pozostało mu czekać i mieć nadzieję. Nie chciał wiele. Wystarczy, że usłyszy „dziękuję”, że ujrzy sobie dedykowany uśmiech, a stanie się najszczęśliwszym człowiekiem świata!

Ile to może potrwać? Goniec musi dotrzeć na miejsce i jeszcze konieczna jest szczypta szczęścia, że adresatka będzie akurat w domu. Zanim przeczyta, zanim użyje... A może nie zechce, może będzie się bała? A jeśli nawet skorzysta, ale nie uzna za stosowne, by osobiście podziękować? Ech, jeśli będzie zadowolona, to niech nawet się nie fatyguje, samo jej szczęście będzie największą nagrodą. Ale czy naprawdę może być kontenta z takiego prezentu?...

No oczywiście! Może! Będzie na pewno! Czarownik pamiętał jak dziś, gdy na przyjęciu z okazji wizyty seniora sąsiedniego hrabstwa miał zaszczyt chwilę rozmawiać z Lady Nath i ta poskarżyła się, że kamień zniszczył jej nową pralkę. Jakże będzie zachwycona, że on, Khallgoon, specjalnie dla niej przygotował tabletki do zmiękczenia wody!

LCF

10.2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bury_wilk, dodano 01.11.2012 19:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.